

Smutnogodnik dla Kobiet.

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 19 sierpnia 1882. —

Nr. 24.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piekary 16. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesyła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie.

Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwuliniowego.

FUJARKA

Cudny wieczór naokoło,
W mgłę srebrzystej drzemie się
Śród zielonych hal,
Na równinie słodko płynie,
Jak anielskie, rzewne pienie,
Dźwięk fujarki w dal!

Szedł wędrowiec pochylony
Gdzieś z dalekich stron,
I przystanął rozmarzony,
Každy chwytą ton!

Całą duszą w piosnkę wnika
Mknącą pośród hal,
Každy dźwięk, co w dali znika,
Budzi w sercu żal!

I on niegdyś w swoim siele
Na fujarce grał,
I płynęło pieśni wiele,
Lecz wiatr wszystkie zwał...

Przepląnęły, uleciały,
Jak srebrzyste mgły,
Urojony raj zabrały,
Zostawiając łzy!

Boleść serce mu ścisnęła,
Wydał głuchy jęk
Za młodością, co minęła,
Jak fujarki dźwięk!

Uriela.

WSPOMNIENIE

o księżniczce

Elizie Radziwiłłównie.

Komuż nieznana historyczna postać Barbary Radziwiłłówny? Odrośl starożytnego i sławnego rodu, piękna,

uroczą i szlachetną; królowa potężnego państwa, kochająca tkliwie i nawzajem kochana, a jednak krótko tylko ziemskim szczęściem się ciesząca, gdyż zaledwie jej czoło królewska zwieńczyła korona, wnet zgasła, pozostawiając w nieutulonym żalu Zygmunta Augusta. Jej życie to nieprzebrane źródło pomysłów dla poetów i malarzy.

W trzysta lat zajaśniała znowu w domu radziwiłłowskim dziewczyna, dziwnie Barbarę przypominająca, ponieważ była równie obdarzona niezwykłą urodą, a nade wszystko tym opisać się niedającym wdziękiem niewieścim, pociągającym więcej, niż klasyczne piękno, a choć nie zasiadła wprawdzie na tronie, przecież była go bardzo blizką, gdyż ten, który ją umiłował pierwszą, serdeczną miłością i pragnął ją pojąć w małżeństwo, dziś zasiada tron pierwszorzędnego państwa w Europie. Była to księżniczka Eliza Radziwiłłówna, która, jaśniejąc najpiękniejszymi przymiotami w kwiecie wieku świat ten pożegnała, doznawszy w życiu wielkich zawodów. Że księżniczka Eliza była szlachetną, niezwykłą kobietą, dość podobno jako dowód przytoczyć, iż zacna Klaudia Potocka była jej serdeczną przyjaciółką, a Mickiewicz, słysząc tylko o jej cnotach, na widok jej portretu napisał następny dwuwiersz:

„Póki cię między ludźmi świat zatrzymać zdoła,
Nie doliczą się w niebie jednego anioła.”

Mgła niepamięci zasłoniła nam szlachetną postać Elizy, tak, że choć głównie w Poznaniu młodość swoją spędziła, wywierając wpływ niezwykły nie tylko na bliższe otoczenie, ale i na dalsze koła, mimo to dzisiejsze pokolenie nader niedokładną posiada o jej życiu wiadomość, a większa część ogółu bodaj wie nawet, że istniała. A szkoda, aby pamięć o niezwykłych zaletach, cnotach i zasługach Elizy na zawsze zagasnąć miała! Dla tego choć nader trudno o źródła, pragnę wskrzesić jej pamięć choć kilku tylko rysami nieuprawnego pióra.

Urodziła się Eliza Radziwiłłówna w Berlinie 28 października 1803 r. Rodzicami jej byli Antoni Henryk książę Radziwiłł i Ludwika, księżniczka pruska, stryjeczna siostra Fryderyka Wilhelma II., króla pruskiego.

Książę Antoni Radziwiłł, syn Michała, wojewody wielkiego, urodził się 1775 r. Jako dwudziestoletni młodzieniec przybył do Berlina na dwór królewski, gdzie znalazł serdeczne przyjęcie, co łatwo pojąć, gdy zważymy, że należał do najpotężniejszej w Polsce magnackiej rodziny, przytem był przystojny, pełen wyższych zalet i talentów, a mianowicie odznaczał się niezwykłą biegłością w muzyce.

Nie dziw też, że zwrócił na siebie powszechną uwagę, że znalazł względy u płci pięknej. Księżniczka Ludwika, wyróżniająca się na dworze pruskim rzadką szlachetnością, powzięła dla młodego Radziwiłła żywą sympatię, z czego wywiązała się zobopólna miłość, która tak była silną, że przemogła zapory, przeszkadzające połączeniu tych dwóch serc węzłem małżeńskim. Król pruski zezwolił na związek księżniczki pruskiej z polskim szlachcicem.

Nie było to zresztą nic nadzwyczajnego w domu radziwiłłowskim, gdyż powszechnie wiadomo, że Radziwiłłówny wychodziły nieraz za mąż za panujących w Europie, a Radziwiłłowie żenili się z córami domów książęcych i królewskich. Jeden z książąt siedmiogrodzkich, Batory, pojął w małżeństwo 1472 r. Zofię Radziwiłłównę, a Konrad IV., książę mazowiecki, był małżonkiem Anny Radziwiłłówny. Katarzyna Sobieska, siostra króla polskiego, Jana III, była poślubioną Michałowi Radziwiłłowi. I z domem brandenburskim Hohenzollernów wchodził Radziwiłłowie niejednokrotnie w związki pokrewne. I tak Janusz Radziwiłł miał za żonę Elżbietę Zofię, księżniczkę brandenburską, a Ludwik, margrabia brandenburski, poślubił Ludwikę Karolinę, córkę Bogusława Radziwiłła, która drugi raz poszła za mąż za Karola Filipa, księcia Nejburskiego, brata cesarzowej niemieckiej.

Trzeba i o tem pamiętać, że Prusy dopiero pod koniec zeszłego wieku urosły w potęgę. Jeszcze 1688 r., kiedy Polska liczyła około 13,000 mil kwadratowych, Brandenburgia i Prusy zawierały 2000 mil kwadrat i 1½ miliona mieszkańców, a około 1790 r. już po zabraniu części Polski, 3400 mil kw. W takich okolicznościach, a mianowicie ze względu na świeżo zagarnięte, znaczne polskie dzierżawy, związek z potężnym domem Radziwiłłów miał dla dworu berlińskiego niemałe znaczenie.

Ślub nastąpił 1796 r. Księżniczka Ludwika uprosiła u króla pruskiego uwolnienie jeńców polskich z powstania kościuszkowskiego, trzymanych w pruskich fortecach. Znaczna wtedy liczba wojowników polskich, między nimi dzielnym Madaliński, uzyskali wolność z powodu tych zaślubin.

Księstwo Radziwiłłowie mieli kilku synów i córek, z tych młodszą była Wanda, a starszą Elżbieta, zwana powszechnie Eliza. Od najpierwszego zarania odebrała jak najtroskliwsze wychowanie, gdyż zacna matka, choć królewskiego pochodzenia, uważając wychowanie dzieci za najważniejsze zadanie kobiety, sama osobiście trudniła się kształceniem swej dziatwy. Młodziuchna Eliza, obdarzona nadzwyczajnymi zdolnościami, wielkie czyniła postępy w naukach i sztukach pięknych. Za przykładem ojca polubiła bardzo muzykę, więcej jednak zajmowała się rysunkami i malarstwem, w czem doszła do pewnej doskonałości. Nie było jej obcem snycerstwo, a niedosyć, że czytała z zapalem arcydzieła wielkich poetów, ale i sama tworzyła poezye. Czy po polsku? nie wiadomo, bo trzeba wiedzieć, że Eliza odebrała wychowanie cudzoziemskie i dla tego choć mówiła chętnie po polsku, przecież akcent cudzoziemski wskazywał, że dopiero później nauczyła się ojczystego języka.

Może to kogo zadziwić, że Radziwiłłówna nie uczyła się najprzód po polsku. Wiadomo powszechnie, że wychowanie Polek było wówczas cudzoziemskie. Sławne autorki, jak np. Tańska, Jaraczewska, Nakwaska z początku tylko po francuzku mówiły i pisały, a dopiero później nauczyły się po polsku. Smutne to, ale niestety! prawdziwe. Zatem i Eliza, wychowana wśród niemieckiego otoczenia, nie dziw, że podzieliła los ówczesnych dziewcząt polskich wyższego rodu. Mimo to Eliza była Polką całą duszą. Oto, co pisze w tej mierze jedna z jej przyjaciółek: „Wszystko ojczyste wiedziała, znała sumiennie, czuła żywo i głęboko. Gdy czego polskiego nie umiała, nękała ją to bolesnem zawstyżeniem. Zdawała się ulegać magnetycznemu pociągowi, gdy z Polakami i z Polkami przebywała. Gdy na obcej ziemi mówiła o Polsce, na przemian hardo, tęsknie, śmiało, tkliwie, z upodobaniem mówiła, z serdeczną ciekawością pytała. Gdy na ojczystej, zdawała się być liliją wonniejszą, bo na rodzinnej kwitnącą niwie; ptaszyką wdzięczniej śpiewającą, bo cieszącą się życiem pod własną strzechą; perłą bielszą,

lazuśszym urokiem lśniąca, bo na dnie morza rodzinnego pieszczoną.“

Jeżeli Eliza odznaczała się znakomitą zdolnościami rozumu, które rozwinęła usilną pracą, to cóż mówić o jej szlachetnych przymiotach serca? Wszyscy, którzy ją bliżej znali, wyrażają się o niej, że to był anioł w ludzkiej postaci. Posłuchajmy np. co pisze o niej w swych zajmujących „Pamiętnikach“ pani Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska: „Wysmukła i pełna gracyi, uroku i anielskiej dobroci, miała w sobie istotnie coś nadziemskiego, co cechuje często istoty, dla których ziemskie szczęście nie jest przeznaczone, a które przeto, nieskalane światowemi rozkoszami, czyste jak anioły, ulatują do przeznaczonych krain swojego właściwego szczęścia.“ Wspomniana zaś już wyżej przyjaciółka tak się o niej wyraża: „Chlubą, szczęściem była rodziców i kochającego ją rodzeństwa, pociechą i wdzięcznym wzorem dla przyjaciół, siostrą dla nieszczęśliwych; dla tych, co na nią tylko patrzali, lubym obrazem; dla wszystkich została dzisiaj wspomnieniem, do żadnego innego w świecie niepodobnem, pełnem słodkiej, żalostnej rozkoszy.“

Różne są zalety i cnoty, któremi jaśnieją niewiasty. Jedną odznacza się łagodnością, druga dowcipem, inna dobroczynnością, pokorą itd. Zdaje się, że Eliza połączyła w sobie wszystkie zalety, jakie są właściwe płci pięknej. Cechowała ją przede wszystkim niewypowiedziana słodycz, łagodność i serdeczna życzliwość dla każdego człowieka. Była dla wszystkich miła i uprzejma — nigdy ani cień nawet pogardy lub niechęci nie skaził jej pięknego czoła. Jak ognia unikała próżności — skromność i pokora były ozdobą jej duszy. Szczerze i serdecznie ukochała rodziców, szczególnie ojca umiłowała gorąco, nawzajem od niego kochana. Czuły ojciec kazał nawet przedstawić się na obrazie, jak przyciska do siebie najdroższą Elizę, niejako pełen obawy, aby jej nie utracił. Była też wielce dobroczynną; widywano ją nieraz, jak z czcigodną matką niosła pociechę i pomoc w ubogie domki mieszkańców Poznania. Jeszcze po dziś dzień dochowały się w naszym grodzie wspomnienia o jej wielkiej dobroczynności, choć o większej części szlachetnych czynów wie tylko Bóg. Wspomnieliśmy już wyżej, że Eliza kochała gorąco Polskę. Była też nader bogobożną, a choć za matką wyznawała zasady religii protestanckiej, przecież tak się szczerze modliła i tak gorąco kochała Zbawiciela, iż zdawało się, jakby się urodziła na łonie religii katolickiej. Wiemy o tem z pewnością, że chciała przejść do kościoła katolickiego, tylko nie mogła tego zamiaru wykonać. Jej czysta dusza i piękno wielkie, w głębi jej serca ukryte, wyraziło się w całej postaci, w każdym ruchu, a nade wszystko w twarzy i w wzroku, w tem zwierciadle ducha ludzkiego.

„Piękną twarz miała Eliza,“ pisze jej przyjaciółka w leszczyńskim Przyjaciółu ludu, „ale nie doskonałością rysów, tylko pięknoscią serca. Oczy błękitu prawdziwie niebieskiego i niebiańskiego, spojrzenie trafiające do duszy, uśmiech łagodny, kibić cudownie gibką, układ technący dziewczęcą powagą i lubością razem.“

W r. 1815 po pamiętnym kongresie wiedeńskim, na którym zabezpieczono prawa narodowości polskiej, został książę Radziwiłł mianowany namiestnikiem królewskim dla Wks. Poznańskiego. Książę namiestnik, przeniosłszy się do Poznania, zamieszkał w dawniejszem kolegium jezuickim, obok dzisiejszej fary. Wtedy i dwunastoletnia Eliza z rodzicami do naszego grodu zawitała. Tu zatem spędziła najpiękniejsze lata dziewczęce, tu też owiana polskiem powietrzem, i spoglądając na pomniki minionej naszej przeszłości, uczuła, że jest Polką. Poznań był wówczas prawdziwie polskim grodem. W rynku prawie wszystkie kamienice były w ręku Polaków, prawie wszyscy urzędnicy byli Polacy, a podczas kontraktów świętojańskich, kiedy i Bogusławski zjeżdżał prawie co rok z towarzystwem dramatycznym, wtedy Poznań tętnił polskiem życiem; wszędzie, gdzie się ruszył, brzmiał polski język. Rodzina Radziwiłłów obcowała głównie z polskimi rodami, jak np. z Dąbrowskimi, z Raczyńskimi, z Działyńskimi itd. Wtedy to

Eliza zawarła serdeczną przyjaźń z Klaudyą Działyńską, późniejszą Potocką.

Klaudia Potocka! ileż to nazwisko obudza rzewnych wspomnień w sercu każdego Polaka i Polki. To prawdziwa ofiara za Polskę, uosobienie poświęcenia i miłości ojczyzny. Spoczywało coś pokrewnego w głębiach tych dwóch dusz siostrzanych, dla tego wnet się szczerze pokochały, a przyjaźń ich dochowała się długo, aż do grobu. Nie znamy bliżej dziejów przyjaźni tych dwojga dusz czystych, zostało tylko kilka listów Klaudy do Elizy, ale i z tych urywków, które ogłoszono w książce „I z bliska i z daleka”, można poznać wzniosłość i szlachetność dwóch tych niezwykłych postaci między Polkami.

Eliza wywierała nawet bezwiedny wpływ zbawienny na różne osoby. Ojciec tak ją czule kochał, że zawsze nosił na sercu medalion z portretem ukochanej córki. Otóż zdaje się 1824 czy 25 r., kiedy książę Radziwiłł bawił w Warszawie, zgubił ów medalion. Było to 28 października, w dniu ś. Elżbiety. Zmarł się wiele tym wypadkiem książę, uważając w tem zapowiedź grożącego nieszczęścia. Nadaremnie szukano długi czas w ogrodzie i pałacu. Udało się наконец znaleźć medalion jakimś pięknemu młodzieńcowi. Uszczęśliwiony Radziwiłł wdał się w rozmowę z młodzieńcem, a gdy się dowiedział, że to był artysta-muzyk, zajął się troskliwie jego losem. Tym młodzieńcem był Chopin. Kto wie, czyby był bez opieki księcia Radziwiłła osiągnął tę wielką sławę, jaka go później spotkała. Tak mimowoli Eliza przyczyniła się do usunięcia pierwszych przeciwności początkującemu artyście.

Spokojnie i szczęśliwie spędzała Eliza lata młodości w Poznaniu, odbywając nieraz z rodzicami wycieczki do dóbr przysgodzkich w powiecie ostrzeszowskim. Tam książę Antoni, wielki łubownik myślistwa, zbudował prześlizny zamek łowiecki w osadzie, nazwanej od jego imienia Antonin. Miejsowość ta leży w uroczej okolicy pomiędzy lasami. Niedaleko zamku wznosi się i kaplica grobowa książąt Radziwiłłów.

Znaczną część czasu spędzała Eliza na malowaniu i rysowaniu, obdarzając swemi utworami członków rodziny i bliższe sercu osoby. Jeden z takich rysunków, przedstawiający wnętrze pokoju, znajduje się w posiadaniu Celestyny hr. Działyńskiej, wiele tychże posiada także pani Mańkowska w Poznaniu, większą część przechowują zapewne Radziwiłłowie. O jej rysunkach czytamy w „Przyjacielu ludu”: „Dusza jej objawiała się często w różnych pomysłach, które kresliła ołówkiem i pędzlem. W nich zawsze moc wiary, lub tklivość serca, lub żywość wyobraźni malowały się na przemian; nigdy nie kopiowała, naśladować nie lubiła. Tak miała silne, wrodzone uczucie piękności, że patrząc na doskonałość oddania jej myśli z tą proporcją i harmonią, można w nich upatrywać dzieła mistrzowskiej ręki, ona tylko odgadywała prawa i tajemnice sztuki.”

O ile wiemy, jeden tylko obraz księżniczki Elizy znany jest z reprodukcji w „Przyjacielu ludu” z r. 1842. O tym obrazie pisze wzmiankowana już przyjaciółka: „Obraz jej Pierwszego kroku Chrystusa Pana, w boskim niedołęztwie dzieciństwa swego, jest arcydziełem; tylko aniołki, strzegące go z troskliwością i poszanowaniem, są świadkami, jak w ubogiej izdebce ojca mniemanego, spostrzega święte dziecko dwa kawałki obrabianego drzewa, złożone przypadkiem na kształt krzyża; tam drobniuchną rączką wskazuje, powstaje, postępuje — to cel pierwszego i ostatniego kroku! W aniołkach widać trwożliwe podziwienie, głębokie uczczenie, rzewne zrozumienie. W Chrystusie gotowość i pospiech nieograniczonego poświęcenia, uwielbienie Ojca swego, smętność bolesną, znajomość srogości meki swojej, miłość ludzi, a przecież jest prawdziwym dzieckiem, słabem i maleńkiem. Obraz ten pojmie i oceni każdy chrześcianin, każdy, co go zobaczy, będzie wiedział, że piękna, czysta, tkliva, bolejąca dusza tchnęła pod tym pędzlem.” Do tego opisu dodać wypada, że dziwny jakiś łagodny smutek rozlany jest na tym obrazie. Uboga izdebka raziłaby monotonością, zatem artystka dla ożywienia kompozycji dodała widok okolicy. Roztacza się przed nami

prawdziwie biblijny krajobraz, ozdobiony palmami i górami. Słońce czy księżyc odbija swe promienie w pobliskiej wodzie, od dzieciątka Jezus bije nadziemska światłość, a czterech aniołków go otacza; z tych jeden klęczy, trzymając w pogotowiu ręce, aby w razie upadku powstrzymać boskie dziecko. Obraz ten, niepodobna, aby i na obojętnego widza nie wywarł wrażenia.

Na tem kończymy niejako pierwszą część życia Elizy, ozdobionej promykami skromnego szczęścia, teraz opowiemy pokrótce dzieje jej nieszczęśliwej miłości, która zatruliła jej życie i stała się jedną z przyczyn przedwczesnego zgonu.

(Dokończenie nastąpi.)

BRACIA CIOTECZNI.

Przekład z języka włoskiego.

(Ciąg dalszy.)

Gwido ronił łzy cicho, a pocieszona i ożywiona tem Julia: — Słuchaj, mówiła — ja pójdę na chwilę do ojca, ty powróć do mamy...

— Ja, ja do matki? — powtórzył młodzieniec, targając włosy z wyrazem grozy. Czyś nie słyszała, że... że ją zostawiłem w pół martwą. Mam wrócić, aby ją widzieć nieżywą, lub zobaczyć umierającą z przekleństwem dla mnie?... A potem... przechodzić tam, obok tego piekła graczy! to stokroć lepiej powrócić do więzienia, albo na szubienicę.

— Szaleństwo! mój Gwidzie!... potrzebujesz spoczynku i pokrzepienia przede wszystkim. Mogłbyś może parę dni spędzić w którymś z tańszych hoteli?

— Czem go opłacić? kiedy nie mam grosza przy duszy.

— Jeśli o to chodzi, to rzecz skończona. I wyciągnęła sakiewkę, aby ją oddać Gwidowi.

Błysk złowrogiej radości zamigotał w oku gracza, dziki uśmiech przebiegł usta, wyciągnął rękę, powstrzymał się jednak prędko, pochylił twarz i odparł głosem przerywanym i wysiłonym.

— Julio, schowaj pieniądze, to pokusa, której się oprzeć nie zdołam! Czy uwierzysz? — dodał głosem, w którym czuć było szalą namiętność — z temi pieniędzmi mimo woli i wiedzy nogi poniosłyby mnie wprost do stołu gry, a ja... przysięgam niebu tysiąc ponieść śmierci, niżeli przestąpić ten próg przeklęty

— Niech ci Bóg dopomoże, mój Gwidzie! — Teraz już pójdźmy. Wiem o blizkiej tu oberży, utrzymywanej przez pocziwą wdowę. Zyskamy czas do namysłu, a może nietrudno ci będzie znaleźć szlachetnego protektora.

— Kogo? Julio, kogo? Kto mógłby być oprócz ciebie do tyła szlachetnym, aby protegować takiego... jak ja?

— Miałeś już dowód, jak daleko jego szlachetność posunąć się może, zauważyła z lekkim rumieńcem Julia.

Rumieniec, ale innego rodzaju, pokrył także twarz Gwida

— O kim mówisz? zawołał — masz na myśli tego młodzieńca, któremu...

— Któremu zawdzięczasz uwolnienie od hańby. Tak, nikt inny lepiej ci do powstania dopomóż nie może.

— Co za myśl, Julio! Gdybyś wiedziała, jak drżałem pod jego spojrzeniem, które zdawało się wnikać w głębię mojej duszy.

— A przecież on taki dobry.

Przechodzili ulicą. Gwido z spuszczonego czołem, przybity ciężarem hańby, nie śmiał nawet podnieść oczu; Julia oparta na jego ramieniu dodawała mu ducha uściskiem ręki, czułem słowem.

Dziwny bo widok tej pary nie mógł nie ściągnąć na ulicy ciekawych oczu gawiedzi. Nie uważała na to wielkoduszna dziewczyna, zajęta dopełnieniem obowiązku miłości bratniej, gdyby nie gruby żart, który doleciał ucha Gwida na skrócie ciasnej ulicy.

— O! Julio moja! zawołał ze łzami, lżą ciebie z mojego powodu! Nie zniosę tego, nie chcę, idź sama, pójdę za tobą z daleka.

I to mówiąc, chciał usunąć rękę siostry z pod swego ramienia, ale ona przycisnęła się doń mocniej, mówiąc z uśmiechem:

— Dzieciństwo, mój drogi, po tak długim i ciężkim rozłączeniu zaledwo uwierzyć mogę, że cię mam przy sobie, zanedo się tem cieszę, aby uważać nawet na niedorzeczne żarciki.

Przyszli wreszcie do oznaczonego domu. Niełatwo przyszło Julii przekonać starą, pocziwą hotelistkę, aby zechciała podejrzaną minę młodzieńca do swoich przyjąć gości. Wprowadziła ich wreszcie do małej izdebki, Julia spytała brata, coby chciał na obiad, on prosił, aby z nim się posiliła.

— Nie, kochany Gwidzie — odpowiedziała — choć pozostałabym chętnie z tobą, mam pozwolenie na trzy godziny tylko, dwie już minęły, a zanim wrócę do domu, zasięgnąć muszę wiadomości o biednej mamie, i tobie ich udzielić.

— Julio! tyś anioł!...

— To niemądre słowa!... przerwała zakłopotana.

— Jak chcesz zasięgnąć tych wiadomości?

— Pójdę do waszego domu, gdzie on jest?

— To tak daleko, na drugim końcu miasta, niepodobna powrócić w godzinę.

— Trudno, to powrócę w dwóch, w trzech, jeśli potrzeba, to mój obowiązek największy w tej chwili, jakim bądź kosztem spełnić go muszę.

Po chwili wyszła, obiecując wrócić prędko. Gwido po lekkim posileniu rzucił się na łóżko w niespokojnem oczekiwaniu. Czekał godzinę, dwie, nadsłuchiwał każdego szelestu, zrywał się na odgłos kroków i zawiedziony, padał z jękiem na łóżko.

Co się stać mogło? — pytał sam siebie. Miałoby ją spotkać co złego? Sama, mało znająca ulice miasta... taka młoda... taka piękna... o! Boże!... tam, obok tego roju szatanów!... — Łamał ręce w rozpacz. Na dworze zmrok zapadał, dzwonek wzywał na Anioł Pański, nieszczęśliwy, choć od dawna zapomniiał się modlić, wołał z łkaniem pomocy Maryi dla niewinnego dziewczęcia. Wreszcie zwolna drzwi się otwarły, Julia stanęła bez tchu i wyrazu, wyciągając ręce do brata. Zrozumiał nieme oznajmienie smutnej nowiny, rzucił się z krzykiem rozpacz ku siostrze, a ona, przyciskając twarz do jego skroni:

— Tak — wymówiła łagodnie i słodko, podczas kiedy głos dzwonów brzmiał przeciągle, daleko — od dzisiaj jedyną nam matką będzie Marya! I, dodała, posadziwszy go na łóżko:

— Skonała na moim ręku, błagałam ją o przebaczenie dla ciebie, mam nadzieję, że ci je udzieliła sercem, nie mogąc już ustami.

Gwido nie pytał o szczegóły na szczęście dla Julii, bo jakżeby mu je opowiedzieć? jak opisać tę scenę okropną? Nieszczęśliwa kobieta nie umarła w domu swoim, tylko w szpitalu, dokąd ją w pół nieżywą przeniesli. Nie poznała córki, nie okazała najmniejszego znaku uczucia, tylko w chwili skonań, kiedy dziewczę klęcząc przy jej głowie, podpowiadało jej akty pobożne, powtarzała niewyraźnie: Przeklęty! przeklęty!

Z tego wszystkiego jednak Gwido nie się nie dowiedział. Julia siedziała przy nim, dopóki płacz rzewny nie ulżył jego rozpacz. Płakali chwilę pospołu; kiedy odchodziła, zwrócił się ku niej z wyrazem czułości, jakiej nie okazał jeszcze nigdy:

— Julio, pamiętam, że ojciec nazywał cię swoją matczką!...

— I ty mnie tak nazywaj, dokończyła myśl jego, jest

to imię najśłodsze pod słońcem. Tak, Gwidzie, dodała, przyciskając raz jeszcze głowę jego do swojej piersi — w sercu tem znajdziesz zawsze tyle uczucia i troski, ile się mieści w sercu matczynem.

XYIV.

Tymczasem w domu markizy A. nie wiedziano co myśleć o tej nad miarę przeciąganej nieobecności Julii. Prawda, że odchodząc, prosiła z tą słodyczą i uległością, której odmówić nie było podobna, aby ją miano za wytłomaczoną, gdyby się o jaki kwadrans spóźniła, ale kwadransów przeszło dużo, a oczekiwanej widać nie było. Nie wiedziano, co myśleć, ale domyślano się wiele, za wiele, jak to zwykle bywa.

Tego właśnie wieczora, na zakończenie karnawału, urządzany był w domu markizy wielki bal maskowy, Matylda miała wystąpić w pysznym kostiumie sułtanki. Karol, choć niechętnie, ulegając namowom dwóch pań, przyrzekł przybyć na wieczór w kostiumie rycerza z pierwszej krucjaty. Po skradzeniu pierścionka nie było już mowy o festynie, a Matylda przypuszczała nie bez racji, że Karol skorzysta z tego pretekstu, aby się uwolnić od rozrywki, tak przeciwnej jego skłonnościom, tem więcej, że i sama strapiona fatalnym wypadkiem, straciła wiele z dawnej ochoty. Uspokojenie takie nie było jednak właściwe jej naturze, to też bilet Karola prędko jej wrócił dawny humor i lekkie myśli o festynie, balu, strojach. Karol jej donosił, że policja robi dalej poszukiwania, zanim takowe jednak skutek osiągną, proponuje nagrodzić jej choć w części tę stratę. Pierścień, który jej ofiaruje, ma także wartość niesłychanie wyższą od złota i kamieni, jest pamiątką, relikwią. „To pierścień, pisał, mojej matki, umarłej w kwiecie wieku, jak twoja, i oplakiwanej długo przez osieroczonego syna. O! Matyldo! dla czegożby jej pamięć nie miała tyle być drogą tobie, ile mnie wspomnienie matki twojej?”

Matylda płakała nad temi słowami i uśmiechała się zpoza łez, odpowiadając biletom pełnym podziękowań rzewnych, a lekkim żartem przypominała także o przygotowanym festynie.

W tej chwili i markiza i baronówna pogrążone były w niemej, choć każda odmiennej zadumie. Ubiegło pół godziny, rozległ się głos dzwonka.

— Otóż i ona! zawołała markiza i Matylda zwróciła głowę wyczekująco. Wszedł baron.

— Tak prędko! powiedziała. — Czy przyjdzie Karol dziś wieczorem?

— Nie zastałem go w domu, odparł obojętnie. Matylda przygryzła wargi, a baron rozpoczął rozmowę z markizą. O piątej proszono do obiadu.

— A Julii nie widać! to mnie zastanawia! — zawołała markizą, opierając się na ramieniu barona, aby przejść do sali jadalnej.

— Kogo? spytał tenże z rodzajem zajęcia — tej panielki, przeznaczonej do towarzystwa mojej córki? Nie omyliłem się więc, to ona była.

— Widziałeś ją gdzie? kiedy? zapytały równocześnie markiza i Matylda.

— Na Toledzie pomiędzy drugą a trzecią; to rzecz niepojęta, szła pod rękę z lazaronem.

— Czy być może! — zawołała stara dama. — Świętoszka! aniołek! Toż mi Karol narobił kłopotu! Ziółko! Gdyby przynajmniej powrócić już nie chciała!

— Ależ to mogła być pomyłka, wtrąciła Matylda. Mój ojciec nigdy nie był sławnym fizjonomistą.

— Prawda! odpowiedział baron, jednak fizjonomia tej dziewczyny ma coś w sobie, co zwróciło moje uwagę.

Matylda rzuciła ojcu spojrzenie zdziwione, bo było to coś szczególnego, że uwagę barona di Rosedas mogło zająć coś innego, jak cyfry i rachunki. — Co za urok, pytała samej siebie, co za urok może mieć w oku ta istota tajemnicza?...

Rzeczywiście w tem niewinnem, nieszczęśliwym dziecięciu, które od pierwszego wejrzenia wzbudziło w niej taką

sympatją, której postępowanie przez dwa prawie miesiące nie dało nawet okazji do jakiegobądź zarzutu, której czułym, szlachetnym staraniom zawdzięczała prawie życie, upatrywała teraz Matylda w wzburzonej fantazyi jakąś istotę tajemniczą, geniusz, nie wiedzieć zły czy dobry, którego nieugięta władza miała wpłynąć na jej przyszłość. Choć nie się nie zmieniło na zewnątrz, czuła dla Julii już to miłość siostry, już też bała się jej jak rywalki, a czasem miała ochotę nienawidzić ją jak nieprzyjaciółkę. Gdyby ją tylko nienawidzić mogła!... W porwywie szlachetnego oburzenia przysięgała była kochać Julię, uwielbiać Karola, ale ani wtedy, ani potem nie posiadała dosyć spokoju i panowania nad sobą, które jedynie daje możność miarkowania uczuć i trzymania na wodzy fantazyi. Uniesiona ślepą namiętnością, nie mogła kochać Julii, ku której zazdrość tak zrećźnie podlegała Betina, a tysiąc rzeczy drobnych, nieznaczających, składało się na to, aby to uczucie stopniować, rozpalać.

Gwałtowny rumieniec, występujący na twarzy Julii, ile razy kto przy niej wymówił imię Karola, drżący głos, którym je wymawiała sama, co zresztą robiła rzadko, — nawet to staranne unikanie obecności młodzieńca, czasem westchnienie, czasem łza otarta ukradkiem; wszystko to dostarczało przedmiotów do obserwacji ciągłej, wytrwałej i drobiazgowej, a wyznać trzeba na pochwałę pięknej baronówny, że chociaż wyciągała nieraz wnioski fałszywe, częściej trafiała na prawdę. Otwartsze było postępowanie Karola względem Julii, a tem samem mniej obudzało podejrzenia. Jednakże imię to brzmiało częściej na jego ustach, aniżeli by sobie tego Matylda życzyła; byłaby wolała, żeby czasem, rozstając się z nią, zapomniał polecić pozdrowień dla tej drogiej dziewczeczki, jeżeli razem z nimi nie była, i niemałego potrzebowała wysilenia dnia tego, kiedy Karol, różowemi barwy malujący w radosnem uniesieniu obraz przyszłego życia, zakończył z uśmiechem na ustach i łzą w oku:

— Ale ażeby obraz życia rodzinnego był zupełny, potrzeba oprócz głównych osobistości trzeciej nie bez znaczenia także, coby dzieliła troskę domową, a i tę mamy także. I wskazał Julię, która cichutko siedziała w framudze okna, pochylona nad śpieszną robotą. Potem dodał poważniej: Przyobiegałem to biednemu jej ojcu, w twojem imieniu także, Matyldo; umrze spokojny, ufny naszemu słowu, bo jego drogie dziecko mieć będzie zawsze we mnie opiekuna, w tobie przyjaciółkę, nasz dom będzie jej domem.

Matylda milczała, ale tylko wszechwładna jej miłość wstrzymała wybuch uczuć, które byłyby może w stanie rozwiać te złote marzenia.

Piekielne zabiegi Betiny potrafiły odkryć i zwolna poszepnąć w ucho baronówny wieść o nowych odwiedzinach Karola. Można się było, prawda, domyslać ich celu, trudno jednak wytłumaczyć sobie, dla czego ani Karol, ani Julia nigdy o tem nie wspominali i słówkiem.

Podczas obiadu Matylda milcząc wyciągała co chwila zegarek, mierząc wolny postęp czasu. Markiza utrzymywała nudną rozmowę z baronem, a wstając od stołu, zbliżyła się do milczącej towarzyszki:

— Miałaby nie powrócić wcale? dodała — co myślisz?...

— Co ja wiedzieć mogę? odparła Matylda z ukrytem zafrasowaniem. Stara dama wzięła ją za rękę i z nużącą czułością, która tylko wywoływała zniecierpliwienie:

— Ależ, serce moje, persadowała, zbytnio tem się frasujesz. Rozumiem, chodzi ci głównie o Karola, którego los tego dziecka obchodzi żywo, jednakże...

— Jeśli pani pozwoli, pójdę na chwilę do siebie.... przerwała Matylda, wysuwając rękę.

— Jak chcesz, moja droga, czekamy cię na kawę.

Matylda wyszła pospiesznie, ścigana drwiącem spojrzeniem Betiny. Z okiem spuszczone, pogrążona w myślach, przechodziła przedpokój, kiedy stanął przed nią Janek.

— Przebacz pani... baronówno... czy o Juliecie nic nie wiesz?

— Nie; odpowiedziała krótko i nacisnęła klamkę, aby

wejść do swego pokoju, ale zuchwały chłopak przytrzymał ją za kraj sukni.

— Przebacz pani, powtórzył, gdyby mi pani chciała wyrobić pozwolenie u markizy, mógłbym pójść się wywiedzieć...

— Dzieciństwo!... od kogożbyś chciał dowiedzieć się o niej?

— Jeśli pani pozwoli, zasięgnąłbym wiadomości w imieniu pani...

— W mojem imieniu!? przerwała w pół gniewna, od kogo?

— Od pana Karola.

— Karola?... powtórzyła z drżeniem i wlepiła wzrok badawczy w otwartą twarz chłopca — co on ma o niej wiedzieć?...

— Coś wiedzieć musi, jeśli nie więcej, będzie mógł dać wskazówkę.

— Ależ na Boga! zawołała z wzrastającym niepokojem, skąd ci to przychodzi do głowy?

— Janek pomimo bystrego umysłu i usposobienia żywego, miał serce otwarte, czyste jak łza; nie dziw więc, że jak niedawno nie przypuszczał, aby pomiędzy osobami nieznanymi mogły być zwierzenia, tak nie rozumiał teraz, jakby pomiędzy narzeczonymi mogły być tajemnice. Po maleńkim ledwo namyśle odparł z zdumieniem naiwnem:

— Jakto?... nie pani nie wie o długiej rozmowie wczorajszej Julii z panem Karolem?

— O długiej rozmowie?... powtórzyła, blednąc Matylda — o czemże mówili?

— Jakże ja to wiedzieć mogę! zawołał chłopak, jakby zgorszony tem pytaniem — mówili w sekrecie i tylko z daleka zdawało mi się słyszeć łkania tej biedaczki. Ale pozwól mi pani pójść do p. Karola, on może wytłumaczy pani wszystko listownie.

— Może i musi! odparła dama, marszcząc brwi delikatne i zamyślona, zdając się mówić do siebie raczej, niżeli do prostodusznego dzieciaka, dodała: ale nie listownie! nie z daleka! Za parę godzin tu będzie, w imię honoru i sumienia muszę do go wyznania prawdy.

— Po co to wszystko! pani.... zauważył Janek z uśmiechem, który zakrawał na politowanie, dość spytać go otwarcie, jak rzeczy stoją, a na słowo p. Karola przysięgać można, jak na ewangelię. Wierz pani mnie, znam go przecież dawniej, aniżeli pani.

Udręczenie stało się od niejakiego czasu dla umysłu Matyldy usposobieniem prawie zwyczajnem. Pomimo wyrzutów, z jakimi odzywało się sumienie, serce jej było żywiej na samą myśl, że się ziścić mogą słowa markizy: może ona nie wróci wcale. — Myśl, że Julia zniknąć mogła, stawała jej podobniejsza do nadziei, aniżeli obawy. Znużona dawnymi i świeżymi wzruszeniami, chciała się rozzerwać oglądaniem sukien, w które się miała przybrać niedługo, ale nie znalazwszy klucza od szafy w własnym pokoju, poszła go szukać w pokoju Julii.

Pobożne dziewczę przed swoim odejściem wyjęło z drogocennego skarbu pamiątek Madonnę ojca, aby zapalić przed nią lampę.

Matylda, uderzona tą nowością, zostawiła na stole swoją świecę, przybliżyła się do obrazu i zwyciężona niewieścią ciekawością, podniosła zasłonę. Prędko jednak cofnęła się; jakby zdumiona i przerażona; potem pochyliła się znowu do płótna i wpatrzona w nie nieruchomie, pobladła śmiertelnie. Nie byłaby oprzytomniała prędko, gdyby nie Janek, który wbiegł gwałtownie, uderzając w dłonie.

— Pani!... wołał radośnie — Julia! Julia!

— Gdzie jest? — zawołała zburzona i wylekła.

— Na dworze jeszcze, widziałem ją wchodzącą w dziedziniec. Biegnę ją spotkać... i nie czekając odpowiedzi, znikł za drzwiami.

Matylda drżącą ręką usiłowała zasunąć zasłonę przed obrazem, wyszarpnęła w pośpiechu śpilki, co przytrzymały gazę, poprawiła, jak mogła, i w obawie, aby nie być na uczynku zdybaną, usunęła się do swego pokoju.

Łatwo sobie wyobrazić stan, w jakim biedna Julia do

domu przybyła. Całodzienne chodzenie, cześć, zimno i najgwałtowniejsze wzruszenia wprawiły ją w stan taki, że zaledwo się na nogach utrzymać mogła. Janek widząc ją bladą, drżącą, obsypał gradem pełnych troski pytań. Ona przyłożyła rękę do piersi, jakby sobie dopomódz chciała do głębszego oddechu:

— Powoli, mój synu, odrzekła, opowiem ci wszystko później... Gdzie panie?

— Markiza drzemie w fotelu, baronówna odmawia różaniec, myślę, przed śliczną Madonną, którą dzisiaj widziałem po raz pierwszy.

— Tak?... dobrze, pójdę do niej; do widzenia niedługo.

Julia udała się do swego pokoju, gdzie jednak nie zastała Matyldy. Była z tego prawie zadowolona. Zbyt jej było pilno złożyć w miejscu pewnem pierścień, ukryty starannie na piersiach, potrzebowała zebrać myśli i przygotować wytłumaczenie swojej dziwnej nieobecności, aby z prawdą się nie minąć, a czi brata nie naruszyć. Zwyciężona zmęczeniem, rzuciła się w krzesło, wyjęła pierścione, położyła go na pudełku, aby go przechować, zanim sposobność pozwoli zwrócić go Karolowi, a podnosząc wzrok zmęczony na obraz, myślała:

— Baronówna go zobaczyła... to przeciw życzeniu biednego ojca... — jednak mnie to nie smuci. To tak słodko widzieć drugich cieszących się tem, co nam się podoba i nas cieszy! Dwa razy tylko wyjęłam tu ten obraz — owej nocy.... I z tą sceną, odbitą nie po raz pierwszy przed wzrokiem swej duszy, Julia stała chwilę cicho, odchylając jedną ręką wieko pudełka, drugą unosząc pierścione, aby go schować. Wtem krzyk nagły: Zdrajczyni! zagrzmiał poza jej plecami.

Matylda gwałtownie wyrwała jej pierścione, biedne dziewczę rzuciło się, a raczej padło pod jej nogi:

— Litości!... jęczała, litości!... i zmęczone powieki podniosła na twarz młodej damy, której oczy zdawały się miotać błyskawicę na głowę niewinną, schyloną przed nią jakby pod hańbą winy.

— Litości?... powtórzyła Matylda głosem takim, w którym niepodobna było poznać jego zwyczajnego dźwięku, litości nad tobą?... nie, hipokrytka! występna! nie!

— Ależ pani nie wie... odważyła się odpowiedzieć nieszcześna.

— Wiem! wiem dosyć!... Powiedz mi tylko jedno, powiedz, czy ten nieszczęśliwy jest twoim współnikiem, czy twoją ofiarą?

— On?...

Matylda straciła resztę przytomności, pochwyciła ramię Julii z taką siłą, że wycisnęła na niem sine znaki swoich palców, a szarpnięciem ją gwałtownie, krzyknęła w przystępie wściekłego gniewu:

— Tak! przynaj się, ty pierwsza kusiłaś go swoim podstępem... chciałaś się zemścić!... wydrzeć nam pierścione, szczęście przynoszący! przypłacisz to drogo! Chociaż Karol moim nie zostanie mężem, ty się nim cieszyć nie będziesz. O! nie! przysięgam!

Cały dom był w poruszeniu; z ust do ust krążyły wiadomości, że Julia złodziejką pierścienia, że ją baronówna na gorącym schwytuła uczynku. Napróżno Janek instynktem czystej duszy stawiał w jej obronie.

Kto mógł, spieszył ku drzwiom pokoju, gdzie się smutna rozgrywała scena; na progu stanęli wszyscy niemi, przerażeni. Julia leżała jeszcze bezwładna, w pół martwa na posadzce, nad nią pochylała się Matylda groźna, nieprzytomna z gniewu i złości.

— Matyldo, co to znaczy? na miłość Boską! pytała głosem drżącym markiza. — Przez litość! Betino!... kto mi wytłumaczy, co tu się stać mogło?...

Matylda nie troszczyła się o odpowiedź, a Betina z złej tajonem zadowoleniem:

— Ani mniej, ani więcej, odpowiedziała, tylko się pokazało, że to niewiniatko, ta świętoszka jest złodziejką, a baronówna w słusznym oburzeniu wypędza ją z domu.

— Tak! zaraz, w tej chwili! wołała Matylda, a jeśli

nie zechce wyjść sama, wyrzucić ją przemocą! Puściła drżące ramię Julii i potoczyła okiem po zebranej służbie, jakby zbadać chciała, kto gotów spełnić jej rozkaz. Nie poruszył się nikt, Janek tylko przykleknął nad leżącą, aby jej podać rękę. Z jego pomocą Julia powstała, ale utrzymać się na nogach nie mogła, z wysileniem powlokła się do krzesła, na które padła bezsilna. To ponowiło szalony gniew Matyldy, a uważając w tem ostantacyjną pogardę rozkazów swoich, podeszła groźna do dziewczęcia, które drżało, jak listek, z przestachu.

— Ha! boisz się teraz?... zawołała z konwulsyjnym uśmiechem ironii — o! zbyt mnie sądzisz pokorną,... myślisz, że ręką moją wymierzę sprawiedliwość takiej, jak ty, nikczemnej!... o! tego się nie bój!

Ta obelga oprzytomniała Julię; żywo podniosła spuszczoną aż do tąd głowę:

— Czegożbym się bać miała? odrzekła z szlachetną wyniosłością niewinności. Boję się tylko Boga, a jeśli drżą moje członki, nie drży sumienie.

— Ha! jeszcze frazesy?... dosyć ich mamy! Potem Matylda zmieniając ton, zwróciła się do markizy, jakby chcąc wezwać jej powagi:

— Długoż pani znosić będzie, aby tego rodzaju kobieta dom jej bezcześciła?

— Ależ, przez litość, uspokój się, Matyldo, — błagała pomieszana stara dama.

— Spokoju? litości... — jeszcze? Precz z nią! mówię,... ona wyjdzie, albo ja!

— Czy myślisz, że ścierpiałabym w domu złodziejkę? trzeba mi jednakże porozumieć się z Karolem.

— Z Karolem! z Karolem! toż właśnie on jej nie powinien zobaczyć już nigdy!... i to jedyny warunek, pod którym może... otrzymać zdoła moje przebaczenie. Ale musi mi wyznać wszystko! wszystko!

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, zauważyła markiza, — mój siostrzeniec jest człowiekiem honorowym, zbyt dobronudszny może, ale nie mu innego zarzucić nie można. Poczekajmy, aż przyjdzie, usłyszmy, co powie na usprawiedliwienie....

— Niech usprawiedliwi siebie samego, pragnę i spodziewam się tego; ale jeśli widok tej nędznej wyrwie z ust jego słowo jedno, nie już usprawiedliwienia, ale współczucia, o! wtedy nie liczę na moję wyrozumiałość!... Zapalone oko Matyldy zdawało się potwierdzać groźbę. Zanim Karol nadejdzie, wołała dalej, ona o tysięcy mil stąd być musi, inaczej biada jej... i mnie!...

— Och! Betino moja! — szeptała markiza do ucha faworyty, która podczas całej sceny ani znaku wzruszenia nie dawała, — co to za wyraz twarzy biednej baronówny! te oczy, te żyły na czole i szyi! Boję się, trzeba by może wezwać jej ojca....

— Nie, nie... odpowiedziała pospiesznie stara, — byłoby gorzej i, dodała głośnie, jeśli pani chce przyjąć moję radę....

— Jaką? jaką?... nalegała markiza.

— Przeszło czterysta kart zostało rozesłanych pomiędzy znajomych i przyjaciół pańskich, za kilka godzin zgromadzą się zaproszeni, wasza Eksceleńcy musisz robić honory domu... to konieczne.

— Na nieszcześnie, odparła zaambarasowana markiza, — Matylda wymówić się może, ja nie.

— Pan Karol przyjdzie pomiędzy zaproszonymi, czyżby się pani zdawała ta chwila odpowiednią do rozprawiania o tem, co zaszło tutaj?

— A więc?...

— Powiemy mu, poprosimy, aby dla rozmówienia się z panią stawił się nazajutrz, tymczasem bez skandalu ją wyprawić można.

— To rada złota! — zawołała ucieszona markiza, jakby jej kamień spadł z serca. Rzeczywiście, mówiła, zwracając się do Matyldy, która milczała niepewna — rzeczywiście, wyrzucać ją w tym stanie, o tej godzinie, byłoby poruszyć całą ulicę, a na prawdę trochę to niesumienne....

— I ja ją mam znieść jeszcze przez noc całą tu, obok mego pokoju?

— Ależ większą część nocy przepędzisz na balu — zauważyła markiza, a ledwo świt, wyprawimy ją, Betinie to staranie powierzam.

— Ja... iść na bal? ja?... ani chcę, ani mogę; i on tam przyjdzie... nie byłabym panią siebie!

— I temu zaradzić można; ustąpię ci mego pokoju, z którego i tak korzystać nie mogę tej nocy. Teraz dość o tem — dodała, zwracając się do służby: niech każdy wraca do swojej roboty. Za godzinę oświetlone być muszą wszystkie salony, czas nagli. Idę do siebie, a i ty, Matyldo, nie wiem, po co byś pozostała tutaj.

O! i pozostać nie myślę!... Poszła za markizą, a rzucając jeszcze Julii spojrzenie piorunujące, powtórzyła do Betiny:

— Równie ze światem, pamiętaj, ani minuty nie zwłócz!

XXV.

Julia pozostała sama w stanie takiego osłupienia, które odejmuje nawet zdolność badania własnego bólu. Niebawem nadszedł Janek, przynosząc świecę i naczynie pełne żaru, używane do ogrzania pokoiów; postawił je w kącie, zbliżył się potem do Julii, i biorąc jej ręce w swoje, mówił ze łzami:

— Biedna moja Julio! To niegodziwość okropna! O! gdyby tu był pan Karol!

— Boże! on!... wyszeptwała biedna, jakby zbudzona nagle; a dzieciak, ściskając jej ręce serdecznie, mówił dalej:

— Ja to wiem, wiem, żeś pani niewinna, czytam to w twojej twarzy, mówi mi to moje serce, przysięgałbym tysiąc razy.

— Dziękuję ci!... Niech ci Bóg nagrodzi tę ulgę, jaką mi sprawiają słowa twoje! —

Rozrzwinięcie wracało lży suchym powiekom nieszcześliwej.

— Ta furja przekłeta!... mówił Janek z uczuciem, wyglądała, jakby ją szatany opanowały! Nie byłbym nigdy myślał, że ona taka... ba! cóż dziwnego, że się zawiodłem, kiedy się zawieść mógł sam...

— Nie mów tego, Janku! — przerwało bojaźliwie dziewczę. Gdybyś mi podał trochę wody... i przysunął ten żar, — dodała, zmarzłam, jak bryła lodu.

— Zaraz, zaraz... i przybliżając do nóg Julii naczynie z żarem, mówił z zadowoleniem:

— Myślałem o tem, teraz pójdę po wodę. Czy jadła pani obiad?

— Wypiłam filiżankę kawy na południe.

— I nic więcej? biedna! zawołał chłopak z współczuciem, nie dziw, żeś taka wycieńczona. Biegnę do kuchni przynieść jaki posiłek!

W pół godziny potem przy nakrytym stoliku usługiwał Janek swojej młodej przyjaciółce, która próżno przymuszała się do potraw delikatnych. Nie uszło to uwagi chłopaka.

— Schowam pani resztę na później — powiedział, na jutro.

— O! zanim ty jutro wejdiesz do tego pokoju, biedna Julia będzie już stąd daleko... odpowiedziała wzruszona.

Janek wybuchnął płaczem, a Julia, płacząc także, mówiła dalej:

— Ale gdziebądź się obracać będę, nie zapomnę nigdy o przywiązaniu twojem, a więcej może... że tyle masz wiary we mnie, synu mój, tego nie zapomnę ci nigdy.

Julia płakała jeszcze, ale Janek już lży otarł, stanął zamyślony, z okiem spuszczone, z wyrazem dziwnie poważnym i spokojnym. Wreszcie podniósł oczy na twarz dziewczęcia i zatarł ręce z wyrazem tryumfu:

— Doprawdy, zawołał, szczęśliwe natchnienie! gdybyś pani pójść chciała za moją radą, byłoby nam dobrze, wie-
rzaj! dodał znacząco, im poszłoby w pięty.

— Co chcesz powiedzieć?

— Słuchaj. One dobrze obmyśliły te trzy wiedźmy żeby cię wyprawić, zanim przyjdzie pan Karol, bo wiedzą dobrze, jak on dba o ciebie, nie....

— Och! co to ma do rzeczy?... przerwało dziewczę, z ruchem gwałtownym.

— I bardzo! niech się pokaże, skinie ręką, a już po ich wszystkich machinacjach... Ale pani drżysz znów, prawdziwie jak dziecko. Przecież nie narażamy się na niebezpieczeństwo, nie prostszego! Jutro więc, wykonując dokładnie wolę markizy i baronówny, wyjdiesz pani równo z światem, wstąpisz do kościoła św. Katarzyny, potem pójdziesz prosto, aż na Toledo, skręcisz się w prawo, przejdziesz obok Muzeum...

— Wiem...

— Doskonale! doszedłszy tam, zostawisz pani gmach po lewej stronie, przejdziesz pięć domów i zobaczysz piękny, trzypiętrowy pałacyk, gdzie wejdiesz na drugie piętro. To dom p. Karola.

— Bredzisz, Janku... przerwała Julia niecierpliwie.

Chłopak rzucił jej spojrzenie zdziwione i trochę gniewne, chciał dalej dowodzić, ale widząc wzruszenie Julii, umilkł, sam zmieszany.

— Gdybyś chciał, Janku, odezwała się Julia głosem, który mu wnikał do głębi serca — gdybyś chciał, mógłbyś mi dać dowód wielkiego przywiązania... przyrzecz mi, że jutro... kiedy przyjdzie pan... pan...

— Pan Karol, rozumiem; co mam mu powiedzieć?

— Nic... O to jedno cię błagam; przyrzecz mi uroczyście, że mu nie powiesz, niech mu inni powiedzą o mnie, co zechcą...

— Jeszcze tego potrzeba! przerwał z oburzeniem, oczer-
niając cię, nakłaniając, poprzekręcając...

— Nie szkodzi...

— A gdyby mnie pytał?

— Gdyby cię pytał, powiesz mu, że... że... płacz gwałtowny mówić jej nie pozwolił.

Plakała chwilę, Janek zadumał się milczący.

— Powiesz mu, dokończyła wreszcie, powiesz, że żadnego nie masz polecenia.

— Nawet pozdrowienia?...

— Nic.... Przyrzekasz mi wszystko?

— Mam przyrzec, że jutro nie powiem nawet słówka p. Karolowi? — powtórzył chłopiec z wolna, jakby z myślą ukrytą. Dobrze, przyrzekam to pani.

— O! dzięki ci, Janku! objęła ręką szyję chłopca i pocałowała go w czoło, powtarzając:

— Nigdy nie zapomnę ci tego, nigdy!

— Myślę, że zobaczę panią jeszcze za kilka godzin, mówił Janek swobodniejszy, aniżeli by się spodziewać było można po takim wzruszeniu. Czy pozwolisz, abym cię przyszedł pożegnać jeszcze przed jutrem?

— Z serca tego pragnę, synu mój.

— Do widzenia więc, do jutra! odchodzę, abys pani spoczęła trochę.

— Do widzenia

(Dokończenie nastąpi.)

KORRESPONDENCJE „DWUTYGODNIKA.”

Lwów, dnia 14 sierpnia.

Piszę w najniegodniejszej niezawodnie dla piszących porze. Miasto wyludnione, jak zwykle w lecie, a ci z mieszkanców, którzy pozostali, kryją się przez dzień cały w mieszkaniach. Wieczorami tylko ożywia się miasto. Znajomi spotykają się z sobą w ogrodach publicznych i używając przechadzki, prowadzą rozmowy, o ile to obecnie możliwe.

Pytanie, dla czego to ostatnie napisałem.

Rzecz naturalna. Właśnie dla tego, że miasto wylu-

dnione, że życie w ogóle przycichło, trudno znaleźć materiały do rozmowy.

O znajomych niewiele można mówić, bo znajomi wyjechali do kąpieli, o sprawach publicznych także niewiele, bo te przycichły zupełnie.

O czym więc mówić?

Chyba o skwarze letnim, o deszczu nawalnym, który przed dwoma tygodniami niesłychane powyrządzał we Lwowie psoty.

Nie gniewajcie się na mnie, że was nudzę tym wizerunkiem życia obecnego we Lwowie. W słowach tych nie ma może treści — lecz nie ma jej w życiu obecnie. Ogół, do którego te słowa stosuje, skwaśniały jak ogórki, które dają miano obecnej porze.

Lecz poza tym ogółem są ludzie, których mało obchodzi letnie upały i nudy, a za to więcej się oni zajmują sprawami, mającymi wpływ i znaczenie dla społeczeństwa. Daje im też obecna chwila wiele do myślenia, nie pozwala porzucić ani na chwilę troski o dzień jutrzejszy dla społeczeństwa i kraju.

Dzień każdy przynosi, choć często nieznacznie, coś nowego. Jeden krok naprzód, na pozór nic nieznaczający, dla myślących ma wszakże nie małe znaczenie. Rzecz naturalna, że w tej pielgrzymce ku przyszłości niezawsze się wie, gdzie, niezawsze postępuje naprzód. Zdarza się czasem krok fałszywy.

Bezwątpienia najważniejszą w życiu naszym jest sprawa narodowa. Wymaga ona wszechstronnej pieczy, pracy bez wytchnienia. Na straży spraw narodowych stać powinna miłość ojczyzny, poczucie obywatelskich obowiązków, a światłem, rozjaśniającym arenę tej pracy, była i być powinna wiara.

Dziś jedna i druga uprawa doznała wstrząśnienia. Nie bez przygotowania ono było. Od dawna spory trwały pomiędzy Rusinami a Polakami, a ich widownią głównie była Ruś Czerwona i jej stolica, Lwów.

Nie tu miejsce rozstrzygać, kto i kiedy zawinił, dość, że jątrono sprawę długo, a podżegaczem głównym był ościenny wróg czystej słowiańszczyzny. W pojęciach nastąpił zamęt, a trudno było z niego wybrnąć. Nastąpiła wreszcie katastrofa, wobec prawa i państwa wyglądająca inaczej wprawdzie, lecz wobec narodu mająca wyraźne, niezaprzeczane znamię nienawiści rodowej.

Ściśle z sprawą narodowościową spleciona sprawa religijna bardzo smutne okazuje wypadki. Uspokojenie duchowieństwa unickiego wcale niekatolickie. Po wsiach na Rusi widziałem krzyże prawosławne.

Darujcie, że znowu piszę o sprawie, tak blisko sąsiadującej z polityką bieżącą. Bawiłem kilka tygodni na wsi, zwiedziłem stron wiele, słyszałem zdań niemało, a widok schizmatycznych krzyżów boleścią mnie napoił i smutkiem, i te słowa podyktował.

Co z tego będzie?

Piszę te słowa, bo one, zda mi się, charakteryzują obecne nasze położenie. Niech bracia z Wielkopolski nie powiedzą nigdy, żeśmy lekceważyli sprawę narodu i kościoła, lecz, gdy sąd o nas wydają, a niestety, tak często krzywdzący, niech pomną, z jakimi trudnościami walczyć musimy.

W pracy bezustannej, a uczciwej, szukajmy ratunku, a nadzieja w Bogu, że go znajdziemy.

Tyle o sprawie rusińskiej, której główne echo, proces Olgi Hrabarowej, już ucichło, lecz nieskończona jeszcze sprawa sama. Będzie się ona niejednokrotnie jeszcze odzywała.

Przejdźmy do przedmiotu innego, o wiele weselszego. Oto wszystkie umysły, które nie pozwalają sobie feryi bezmyślności, zajęte są gotującą się wystawą rolniczo-przemysłową w Przemyśle.

Nie ulega wątpliwości, że kraj nasz w ostatnich czasach znaczne poczynił pod względem ekonomicznym postępy. Krzątają się około podniesienia rolnictwa, przemysłu i handlu, zabiegi te już dziś znaczne wykazały korzyści. Dowodem tego podniesienia jest wystawa, która zostanie 1 wrze-

śnia otwartą w Przemyśle. Podług tego, co dziś już jest widocznem, można śmiało powiedzieć, że wystawa ta przewyższa wszelkie oczekiwania.

Zresztą napiszę o niej po otwarciu osobno, z szczególnem uwzględnieniem tego wszystkiego, co może kobiety obchodzić, lub jest dziełem rąk kobiecych.

A kiedy o pracy, podnoszącej kraj mowa, to nie możemy przemilczeć wiadomości o smutnym wypadku. Oto śmierć zabrała nam jednego z najczenniejszych obywateli, weterana wojsk polskich z r. 1831, Kazimierza hr. Krasińskiego. Mąż ten pozostawił po sobie pamięć piękną i żal powszechny.

Z dziedziny sztuki nie teraz nie donoszę. Teatr letni odgrzewa najłepsze sztuki, bo personal słaby. Większość artystów wyjechała, jedni na urlop, drudzy nawet zupełnie opuszczają scenę lwowską. Mianowicie panowie Zboiński i Zamojski zostali zaangażowani do teatru polskiego w Petersburgu. Strata to dla teatru lwowskiego nie do powetowania.

Wystawa dzieł sztuki została już otwartą. Napiszę o niej następnie obszerniej. Dotąd w ogóle mało odowiedziana, bo też i bardzo mało liczny okazów.

Literatura zwykle o tej porze spoczywa. — Mamy wszakże do zanotowania piękne a bardzo potrzebne wydawnictwo. Jest to Biblioteka klasyków polskich, wydawana przez księgarnię H. Altenberga. Jest to bezwątpienia pierwsze u nas wydawnictwo tego rodzaju. Tanie bajecznie, papier i druk piękne, lipskie, a do tego oprawa nadzwyczaj elegancka i gustowna. Co miesiąc wychodzi jeden tom, kosztujący (z oprawą) 1 złr. 20 ct. Jak wielkie są książki, można zrozumieć z tego, że wszystkie dzieła J. Kochanowskiego mieszczą się w dwóch tomach. Będzie to biblioteka bardzo ozdobna, a pod względem układu staranna. Układem zajmuje się pan Władysław Belza, znany i jako poeta i jako biegły encyklopedysta w dziedzinie poezji. — Jego „Antologia poetów polskich“, a obecnie drukująca się „Antologia poetów obcych“, najlepiej świadczy o zdolności i sumiennosci wydawcy. Taniść i piękność biblioteki klasyków jest rękojmią, że znajdzie liczny popyt.

Ta sama księgarnia wydaje „Mohorta“ z ilustracjami J. Kosaka, o czym już pisaliśmy. Obecnie są już wydane dwa zeszyty. Wydawnictwo to przepyszne.

O innych dziełach pomówimy później osobno.

Z.

Kronika literacka i artystyczna.

— **Wielkie zajęcie** obecnie wzbudza w literackich i naukowych kołach Krakowa ukazanie się Biografii Zygmunta Antoniego Helcla, piora p. Henryka Lisickiego. Nie wchodzi w zakres Dwutygodnika rozbiierać historyczną wartość tego dzieła, ale że z pewnością praca autora „margrabiego Wielopolskiego“ żywą wywoła historyczno-literacko polityczną polemikę, zwracamy na nią uwagę czytelników naszych. Biografia Helcla tem większe u nas winna wzbudzać zajęcia, że niejedne wspomnienia poświęcone są tam osobistościom wielkopolskim. Co do formy literackiej tego dzieła, p. Lisicki między nowoczesnymi autorami od dawna zwykł zbierać palmę zwycięstwa, jako władający najpiękniejszą i najczystsą polszczyzną.

— **Rady dla młodych mężatek**, napisał dr. Jan Sawicki. Wspomnieliśmy już raz o tej nader użytecznej książce, pojawiającej się już w drugim wydaniu; dziś na nowo ją polecamy. Nieumiejętność wychowywania dzieci i niedbalstwo o własne zdrowie są nietylko w niższych klasach zakorzenione, autor pragnie więc swą książką pouczyć matki, aby pielegnowały własne zdrowie i dzieci. Śmiertelność między niemowlętami w naszym kraju, która tak dobrze w chatkach, jak i w pałacach się szerzy, jest wymownym dowodem, że zwykle przepisy higieny i dyetetyki są często mało lub

nic nieznane. Autor pragnie w tej mierze oświecić młode mężatki. Mówiąc obszernie o fizycznym wychowaniu dzieci, nie zapomina jednak i o moralnym, które każe już w kolebce rozpoczynać. — Rozsądne i trafne są nader uwagi o pieczętach, których używają nieraz matki jako środka uspokojenia dzieci. Autor twierdzi, że często wpływają takie pieczęty na niekorzystny rozwój charakteru. Również przestrzega, aby nie straszyć dzieci kominarzami, dziadami itp. bo i to bardzo ujemny wpływ na nie wywiera. Są to wprawdzie znane rzeczy, ale nie można ich dosyć często powtarzać, gdyż chodzi o tak ważną sprawę, jaką jest wychowanie młodego pokolenia. Osobny rozdział poświęcony jest książkom, stosownym dla dzieci. Życzyć wypada, aby dziełko, o którym mówimy, znalazło przychylne przyjęcie.

— **O pielęgnowaniu chorych w domu i w szpitalu.** Pod tym tytułem wyszła w Warszawie użyteczna książka, staraniem Kroniki Lekarskiej, podająca praktyczne wskazówki, jak obchodzić się z chorymi, jak przyrządzać dla nich pokarmy, przewietrzać pokój, jak wykonywać polecenia lekarza i t. d. Książka to bardzo praktyczna.

— **Wydawnictwa o Częstochowie** zaczynają się coraz więcej pojawiać. I w Poznaniu wyszły dwa podobne dziełka, z tych jedno nakładem Jarosława Leitgeba pod napisem: „Krótka historia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.“ Słynnego cudami na Jasnej Górze z dodaniem godzin, modłów i pieśni, jakie wierni na tem miejscu od wieków zanoszą. 88 stron i 6 pięknych obrazków. Cena 30 fen. Drugie dziełko wyszło nakładem St. Offierskiego: „Pięćset letni Jubileusz założenia Jasnej Góry Częstochowskiej.“ 71 str. Cena 30 fen. Jest to właściwie tylko opis obrony Częstochowy przeciw Szwedom 1655 r. Bez porównania pierwsze dziełko jest dokładniejsze, aniżeli drugie.

— **Dzieła Mickiewicza** w języku rosyjskim wydaje księgarz B. Wolf w Petersburgu. Wyszedł dotąd tom pierwszy. Wydanie bardzo staranne, ozdobione portretem poety. Przekład jest, zdaniem znawców, wyborny, czemu śmiało można dać wiarę, gdy między tłumaczami figuruje nazwisko największego poety rosyjskiego, Puszkina, który przełożył na rosyjskie: „Czaty“ i „Trzech Budrysów.“

— **Modlitewnik królowej Marysieńki.** Jest to piękny rękopis pergaminowy o 167 kartach, znajdujący się w król. bibliotece w Monachium, a w nim zbiór modlitw, który ofiarowały królowej Karmelitanki bose konwentu warszawskiego. Do Monachium dostał się ten rękopis przez Teresę Sobieską, która wyszła za Maksymiliana, elektora bawarskiego.

— **Przygody młodego podróżnika w Tatrach,** z dziennika Kazia przepisała M. J. Zaleska. Warszawa. Str. 192 i 16 obrazków.

— **Tomkowicz Stanisław dr.** Z wieku Stanisława Augusta. Dwie części. Wydawnictwo zawiera wiele ciekawych i nieznanych szczegółów z czasów Stanisława Augusta, np. mało rozpowszechnioną jest wiadomość, że światły król ten próbował także sił swych w poezji.

— **Żyć pobożnych i światobliwych cnót człowieka szlachetnego, Tomasza Zielińskiego,** w Wielkiej Polsce w r. 1585 zmarłego, zebrany i wydany naówczas przez Hier. ks. Powodowskiego, teraz na nowo dla odnowienia pamiętki podług wydania wtórego z r. 1662, z przydaniem niektórych rzeczy przedrukowany staraniem ks. Marcina Chwaliszewskiego. Poznań 1882. Do nabycia w księgarni katolickiej.

† **Włodzimierz Wolski,** zakończył życie po długiej chorobie w Brukseli dn. 29 lipca rb. Szczupłe grono rodaków oddało mu ostatnią posługę, a Henryk Merzbach odczytał wiersz nad grobem zawczasie zmarłego poety. Śp. Wolski odznaczył się jako poeta i powieściopisarz. Do celniejszych jego utworów poetycznych na większy rozmiar należą: *Ojciec Hilary, Połóska i Halka* (tekst do opery Moniuszki.) Niektóre z aryi Halki, a szczególnie w rzuwny śpiew Jontka „Szumią jodły na gór szczyty,“ brzmią wszędzie, jak daleko sięga polska mowa. „Ojciec

Hilary“ uzyskał niegdyś wielki rozgłos, a nawet uważano go za hasło do utworzenia w poezji polskiej szkoły mazo-wieckiej. Utwory Wolskiego odznaczają się piękną formą, ale niestety, dążność ich często szkodliwa. Uwielbiając lud, potępiał wyższe stany, co i w Halce widoczne, choć nie tak rażące, jak w jego innych utworach. Z drobnych poezji wymienić wypada „Pieśni powstańcze“ i „Promyki,“ w których mieszczą się prawdziwe perły poezji polskiej. Pisał też Wolski piękne powieści i humoreski. Brał czynny udział w wypadkach 1862 i 63 r., dla tego poszedł na tu-lactwo. W ostatnich latach nie już nie pisał. W każdym razie był to niepospolity talent, który w innych warunkach byłby z pewnością oddał znakomitsze przysługi naszej lite-raturze.

— **Na wystawie sztuk pięknych p. Ungra w Warsza-wie,** znajdują się cztery płótna p. Marcelego Kra-jewskiego. — 1. Portret Ojca Pawlickiego ze zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców zwraca na siebie uwagę przez połączenie rembrantowskiej siły pędzla z mię-kim umodelowaniem Van Dyka. Twarz pełna kapłańskiej powagi i wyrazu. Nawet akcesorya są tu nader plastycznie wykończone i czarna sukienka zakonnika spoczywa na ży-wych, ruchliwych muszkulach.

2. W portrecie hr. B. z M. K. widzimy piękne i smę-tne spojrzenie czarnych oczu Podolanki i szlachetność ry-sów, które zdradzają córę niw wielkopolskich.

3 obraz przedstawia głowę Włoszki; z miniatu-rową prawie dokładnością oddana to postać, która chyba być musiała Stellą wszystkich modeli Rzymu. Oczy ma na poły zamknięte, lecz te spuszczone powieki nie długo się podniosą, aby ukazać w swym blasku gorące ognie południa. Doskonale odbija od ciemnej cery Rzymianki bogaty strój narodowy, który p. Krajewski oddał z nad-zwyczajną żywością kolorytu.

4. W ostatnim portrecie, który się nam z kolei przedstawia, pozwalamy sobie zarzucić malarzowi pozę, którą wybrał dla Pana K. W portrecie tych rozmiarów wolelibyśmy widzieć całe ramię, a to odcięcie łokcia nie za-dawalnia zupełnie patrzącego na obraz, choć przyznajemy, że często trudno malarzowi walczyć z wolą modelu. Z naj-lepszą chęcią krytykowania jedyna to usterka, którą tu znaleźć można, bo wyraz i plastyka twarzy tak żywe, że do siły rembrantowskiej przyjdzie nam chyba dodać dokła-dność B. Dennera.

Z wielką przyjemnością dowiadujemy się, że p. Kra-jewski na jakiś czas przynajmniej zamyśla się osiedlić w Po-znaniu. Atelier, które tymczasem urządził sobie w Bazarze, przyciąga wielu znajomych i ciekawych amatorów sztuk pięknych, bo są tam ukończone i już na ukończeniu będące portrety kilku znanych osób. Wymienimy tu tylko po-smiertny portret śp. hr. Adama Platęra, w którym poczęści z fotografii, po części z wspomnienia p. Krajewski oddał wyraziste spojrzenie błękitnej żrenicy.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

Na wstępie zapisujemy nader ważną i pożądaną wia-domość o otwarciu nowych kursów dla kobiet, oczywiście Polek, nad morzem Bałtyckiem. Pani J. z Ku-czyńskich Dubiecka, autorka „Myśli o wychowaniu kobiet,“ otwiera w tem mieście kurs jednoroczny dla kilkunastu pań, którym wykładać się będzie: kucharstwo, piekarstwo, cukiernictwo, krawiecczynę, modniarstwo, go-spodarstwo kobiece, ogrodnictwo, pranie haftów, koronek, piór, rękawiczek i wywabianie plam. Z działu naukowego uwzględnić się będzie: pedagogikę, higienę i literaturę powszechną ostatniej epoki. Oprócz tego mają uczennice opracowywać krytycznie rozbiór dzieł czytanych, oraz tłuma-czyć z obcych języków pożyteczne dziełka dla dzieci i mło-dzieży. Wiadomość tę czerpiemy z „Kroniki Rodzinnej.“

W 15 nr. jest umieszczony krótki, ale bardzo treściwy i z wielką znajomością rzeczy napisany artykuł pani Dubieckiej o potrzebie dopełnienia wychowania panien. „Nie ma u nas szkoły,” mówi zaraz na początku pani D; „dopełniającej średnią edukacją kobiet i przygotowanie kobiety do życia, jako żony, matki, gospodyni i obywatelki. Tak nazwane skończone panny, wychodzące dziś z domowej i publicznej edukacji, nie mają żadnego do dalszych obowiązków przygotowania.” W końcu czytamy: „Edukacja kobiety koniecznie być powinna odpowiednią do jej obowiązków, do zadania, jakie ma życiem swem wypełnić, szkoła zatem, uzupełniająca ją, jest niezbędną.”

Myśl ta już dawno objawia się w naszych pismach, a społeczeństwo polskie żywo się nią zajmuje, dotąd niestety! więcej w teorii. W Poznaniu po ukończeniu naukowego wykształcenia znaczna część panien kształci się w krawiecczyźnie, oprócz tego urządził profesor Szafarkiewicz kursa handlowe dla kobiet, które, przynajmniej z początku, cieszyły się wielkiem powodzeniem. Zdaje się, że podobny zakład, jaki otwiera pani D. w Rydze, zyskałby i w Poznaniu wielkie powodzenie.

— **Sala bezpłatnej nauki szycia** w Warszawie będzie wkrótce otwarta. Na ten cel złożył Zdzisław hr. Zamojski 1000 rubli. Na naukę szycia uczęszczać będą głównie dziewczęta z ochrony, które mają pobierać naukę codziennie, a starsze dziewczęta z miasta co niedzielę i święto. Oprócz nauki dostawać będzie każda dziewczynka w zakładzie obiad. Sala szycia zostawać będzie pod zarządem Sióstr Miłosierdzia, a główny nad nią nadzór obejmie Towarzystwo dobroczynności. W sali ma być zaprowadzona księga dochodu i rozchodu, a mianowicie zapisywać się będą ofiary na rzecz zakładu. Kierownicy mają nadzieję, że z czasem ta praca nietylko się utrzyma, ale nawet zyski przynosić będzie.

— **Wystawa rolniczo przemysłowa** odbędzie się w Przemysłu d. 31 sierpnia br. Zgłosiło się około 900 wystawców. Połączona z nią będzie także wystawa sztuk pięknych. Osobne grupy stanowić będą prace kobiet i przemysł domowy. Łatwo stąd poznać, że owa wystawa przemysłu ma wielkie znaczenie i to nietylko dla samej Galicji.

— **Zabawa letnia** połączonych towarzystw polskich, która odbędzie się 4 września br., w Poznaniu, wypadnie, o ile dotąd można wnioskować, nader świetnie. Niezwykłą siłę przyciągającą stanowić będą fanty, które uczestnicy mogą wygrywać. O ile słyszeliśmy, znajdować się będą nader cenne rzeczy np. magiel za 40 talarów, wół, dwanaście skopów itd. Dochód z tej zabawy ma wzbogacić fundusz na subwencyonowanie sceny polskiej w Poznaniu.

— **Portret Heleny Modrzejewskiej** wraz z życiorysem, napisanym przez W. L. Anczyca, umieszcza niemieckie piśmo: „Illustrowana gazeta dla kobiet” wychodząca w Berlinie. Portret jest przesłannie wykonany, a życiorys zawiera wiele ciekawych i nieznanych szczegółów.

— **Do Wiednia** przybyło niedawno 76 Amerykanek, z tych prawie wszystkie w bardzo młodym wieku, aby zobaczyć osobiście tego miasta. Towarzyszył im tylko jeden mężczyzna. Warto także zapisać wieść, że pewna Amerykanka ubiega się o krzesło prezydenta Zjednoczonych Stanów.

— **Gazeta Polska** podaje ciekawe szczegóły o szachu perskim Nasser Edinie, który już dwa razy zwiedzał Europę. Zaprowadza on w Persji urządzenia europejskie. Zimą spędza w Teheranie, wiosną i lato w różnych okolicach kraju, w jesieni bierze udział w manewrach wojskowych. Ilekroć ma wyjechać z pałacu konno czy powozem, wystrzał armatni zapowiada to mieszkańcom. Wyjeżdża zwykle karetą w 6 biegłych koni, dopiero przy bramie dosiada wierzchowca. Przed koniem pędzi 50 królewskich gońców w czerwonych ubiorach. Przy boku szacha znajduje się zawsze fajkarz, tj. służący do podawania fajki i — kat. Oczywiście, że szach, jak i inni monarchowie wschodu, posiada dość liczny harem. Można czasem widzieć jego mieszkanki, gdy odbywają wspólne wycieczki. Około 30 powozów rozmaitego kształtu, uszkodzonych, brudnych, którymi powożą oberwańcy — oto ekwipaże haremu. Po

bokach biegają strażnicy z różgami, którymi lud rozpędzają. Każdy Pers, spotykający ten konwój, zniewolony jest odwrócić głowę i twarz oprzeć o ścianę, a i Europejczycowi nie wolno zbyt ciekawie przypatrywać się zawołanym pięknosciom haremu. W pałacu szacha dziwna jest mieszanka najpiękniejszych mebli, obrazów i wyrobów, obok przedmiotów podejrzanej wartości. Sala muzyki zawiera 20 fortepianów, organków, zegarków i tabakierek grających. Skarbiec mieści się w szczupłej izbie. Tu leżą odkryte nieocenione bogactwa. Na środku stoi prosty stół sosnowy z szufladami, a w jednej z nich najpiękniejszy brylant szacha, liczony do największych w świecie. W sali koronacyjnej zawieszony jest portret cesarza Franciszka Józefa, darowany przez niego szachowi. W tejże sali znajduje się zabawka szacha, wielki, jedyny w swym rodzaju globus ze szlachetnego kruszcu, na którym części świata i morza oznaczone są drogiemi kamieniami, ułożonemi mozaikowo. Pojedyncze państwa i stolice oznaczone są także różnemi, drogiemi kamieniami.

— **Panna Berta Rotszyld** zaręczyła się z Aleksandrem Berthier, księciem Wagramu. Narzeczoną krótko przed ślubem przejdzie na łono kościoła katolickiego Inna Rotszyldówna w Anglii, choć poszła za mąż za znakomitego lorda angielskiego; nie zmieniła wyznania Mojżesza.

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHTIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIĄ BRASSEY.

Tłumaczenie z języka angielskiego w wyjątkach.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Z Honolulu do Yokohamy.

4 Styczeń. Morze zburzone, lecz wiatr mamy przyjemny, a tem więcej jesteśmy mu radzi, że jest chłodny i miły. Tak szybko nie spodziewaliśmy się równie nagłej zmiany. Za naszego pobytu w Honolulu, panowała tam zwykła febra kataralna, często nawiedzająca miejscowych ludzi i zwierzęta, a podobno zarazę tę przynosi południowy wichur, który w ciągu naszego pobytu na chwilę wiać nie przestał. Dopóki byliśmy na lądzie, nikt z nas nie uległ zarazie, lecz obecnie zaczyna nawiedzać nas wszystkich.

5 Stycznia. Orzeźwiający wietrzyk dotąd nie ustał, pod wieczór zamienił się w silny wichur. My wszyscy, a nawet służące straszne mamy katary.

6 Stycznia. Wiatr wzrastał się nocą, zburzenie morza coraz silniejsze. W ciągu dnia deszcz padał po kilka razy.

7 Stycznia. Dzień wietrzny, nieprzyjemny, przepłatany deszczem. Całe rano płynęliśmy zwolna, o pół do 12-tej rozpalono kocioł, chwilę później zerwał się wiatr silnie. O 12-tej odprowadziliśmy litanią i krótkie wieczorne nabożeństwo bez kazania.

29 stycznia. O 9-tej zawinęliśmy do zatoki Yeddo, a wśród tysiąca chińskich okrętów i łodzi rybackich, dobiliśmy do portu Yokotama. Na pierwszy rzut oka zatoka cała zdaje się pokryta poruszającymi się statkami, i aby się przecisnąć przez tłum ten, potrzeba czasu nielada. Po obu stronach zatoki, na brzegach, najeżonych ostrościami pagórkami, porastają jodły i inne drzewa, wśród których rozrzucone są wsie i świątynie. Obrazki japońskie, tak często widywane w Europie, jak najdokładniej oddają tutaj swoją miejscowość.

ROZDZIAŁ XX.

Kioto, pierwotnie zwane Miako.

Zmiany nazwisk, nadzwyczaj rozpowszechnione w Japonii, bardzo są niemiłe. Miako i Yeddo, pod tą nazwą